

Opowieść o trudnej miłości w cieniu Auschwitz.  
To historia inspirowana prawdziwymi wydarzeniami!



JUSTYNA STASIO-SIGA

# SZEWCOWA

LIRA  
WYDAWNICTWO

**SZEWCOWA**



JUSTYNA STASIO-SIGA

# SZEWCOWA

L  R A  
WYDAWNICTWO

Lira Publishing Sp. z o.o.

Wydanie pierwsze

Warszawa 2023

ISBN: 978-83-67654-00-5

*Elżbiecie Wawrzyniak – mojej babci,  
która opowiedziała mi wiele wspaniałych historii*



# ŁÓDŹ, CZERWIEC 1946

## 1. KOBIETA, KTÓRA NIGDY NIE TAŃCZY

W życiu jest zaledwie kilka chwil, które wpływają na dalszy jego bieg, oddziałują na tysiące pozostałych. To, że nasze życie zostało rzucone na nowy tor, uświadomiamy sobie po miesiącach, a nawet latach. Nagle pojawia się bardzo wyraźne wspomnienie chwili, która nieodwracalnie odmieniła los. Wbrew pozorom zmiany nie przynosi wcale dzień ślubu czy narodzin dziecka, lecz moment, w którym poznaliśmy przyszłego małżonka — lub w którym poczęło się nowe życie. Nie da się go przewidzieć ani zaplanować. Przychodzi sam. Niespodziewanie.

Niedawno zapadł zmrok. Zaczęła się jedna z nielicznych w roku ciepłych nocy. Powietrze pachniało jaśminem i akacją. Nagrzane w upalny dzień mury kamienic i wyłożone kocimi łbami ulice powoli oddawały ciepło. Julian Wiatr szedł na przyjęcie. Był mocno spóźniony. Po pracy wrócił do domu zjeść, umyć się i przebrać, a gdy położył się na chwilę, by dać wytchnienie plecom — zasnął na trzy godziny. Gdyby obudził się dopiero rano lub w środku nocy, za późno, by wyruszać na prywatkę, jego życie potoczyłoby się inaczej. Ten dzień, choć wówczas nie zdawał sobie z tego sprawy, był jednym



z najważniejszych w jego życiu, jednym z tych kilku przynoszących wielkie zmiany.

Mietek nie podał mu konkretnego adresu. Powiedział tylko, że to przy Franciszkańskiej dwadzieścia coś. Znajomy znajomego Mietka z fabryki kupił na Rynku Bałuckim gramofon. Każdy może przyjść — najlepiej z płytą albo flaszką. Julian i Mietek byli kolegami ze szkoły powszechnej i z boiska. Teraz dobiegali już wieku chrystusowego i czuli się w swoim życiu opóźnieni. Starali się nadrobić pięć lat skradzionych im przez wojnę, wybawić się na prywatkach, znaleźć sobie żony. Nie przepuszczali żadnej okazji, nawet gdy impreza odbywała się w tygodniu i prosto z przyjęcia, bez chwili snu musieli iść do pracy.

Julian minął już wszystkie kamienice od numeru dziewiętnastego do dwudziestego dziewiątego, dwa razy przechodząc na drugą stronę ulicy. Światło świeciło się w nielicznych oknach. Na ulicy panowała cisza. Mężczyzna przystanął, zastanawiając się, w którą stronę iść.

Już chciał zawrócić do domu, gdy usłyszał ciche dźwięki trąbki. Wyteżył słuch. Tak — wyraźnie słyszał melodię i kobiecy głos, choć z tej odległości nie był w stanie rozróżnić słów. Ruszył za muzyką. Dobiegała z kamienicy po przeciwnej stronie, spod numeru dwudziestego czwartego. Wszedł przez bramę na podwórko.

Przez szeroko otwarte okna jednopokojowego mieszkania na parterze zobaczył tańczące pary. Tak niewiele było wtedy trzeba, by urządzić wspaniałe przyjęcie: gramofon, parę płyt, butelka pigwówki. Julian podszedł

pod okno i niezauważony obserwował zabawę, dopalając papierosa. Potrzebował chwili, nim wejdzie w wir i chaos tego przyjęcia. Meble poprzesuwno pod ściany. Pośrodku tańczyło w ścisłości kilkanaście par. Wokół, pod ścianami, stało kilka grup mężczyzn — pili, głośno rozmawiali. Kilku przy wciśniętym w róg pokoju okrągłym stoliku grało w karty na pieniądze. Śmiech, gwar rozmów, wesołe okrzyki. Nigdzie nie widział Mietka.

Szukając wzrokiem przyjaciela w dynamicznym, wesołym tłumie, zobaczył jedyną kobietę, która nie tańczyła. Piękną blondynkę w czarnej sukience. Właśnie podszedł do niej jakiś mężczyzna i wyciągnął rękę, prosząc ją do tańca. Powiedziała coś. Nalegał. Pokręciła głową. Mężczyzna odszedł w stronę kolegów, teatralnie rozkładając ręce.

Blondynka spojrzała w stronę okna. Zauważyła Juliana. Patrzyli na siebie — ona w środku mieszkania, on na zewnątrz. Nie odrywając wzroku od kobiety, rzucił niedopałek i przygnoił go butem. Ruszył prosto do niej. Wszedł do mieszkania przez otwarte okno i przeszedł między tańczącymi. Pomyślał, że to romantyczne — „jak w filmie” — i każdej kobiecie się spodoba. Z nim, po takim wejściu, na pewno zatańczy. Zatrzymał się przed nią i uśmiechnął, pewny siebie.

Kobieta pozostała poważna. Jej ciemne oczy kontrastowały z jasnymi włosami uczesanymi w kok. Delikatnie śniada skóra dobrze wyglądała przy czarnej sukience. Mimo wyraźnych starań kobiety, by zachować szyk, bieda była widoczna — tkanina sukienki mocno

wyświecona od wielokrotnego prasowania, brak jakiegokolwiek biżuterii, skórzana torebka mocno poprzecierana i na pewno nie wieczorowa.

— Zatańczy pani?

— Nie tańczę — odpowiedziała.

Julian spojrział na jej buty. Miała czarne czółenka na dość wysokim obcasie, bardzo sfatygowane. Odstawały przy pięcie, co najmniej o jeden rozmiar za duże. Musiało być jej trudno w nich chodzić, o tańczeniu nie było nawet mowy.

— Może spróbuje pani boso? — Julian wyciągnął do niej rękę.

Kobieta pokręciła głową i przymknęła na chwilę powieki, wyraźnie znużona.

— Takie wysokie obcasy powinny być szersze — plótt, byle być jeszcze chwilę przy niej, byle nie być kolejnym, którego odprawi z kwitkiem. — Nogi by pani nie bolały.

— Nosi pan? — Roześmiała się.

Rozpromieniona wyglądała jeszcze piękniej. Kilku mężczyzn spojrzało zazdrośnie w stronę Juliana.

— Robię. Mógłbym pani te przerobić. Zmniejszyć trochę...

— Naprawdę, nigdy nie tańczę. — Uśmiechnęła się. — Proszę tego nie brać do siebie.

— Prawda. — Nagle za plecami Juliana pojawił się pijany Mietek z dużo młodszą dziewczyną, którą obejmował w pasie. — Nigdy nie tańczy. Też próbowałem...

— Ja tańczę! — Towarzyszka Mietka zaśmiała się i złapała Juliana za rękę.

— Ma pan szczęście. — Kobieta mrugnęła do Juliana porozumiewawczo.

Julian odpowiedział jej uśmiechem i dał dziewczynie Mietka wciągnąć się na parkiet. Nie chciał dłużej kompromitować się przed blondynką i zerkającymi na nich mężczyznami. Nie zdziwiłby się, gdyby robili zakłady, czy komuś uda się z nią zatańczyć. Właśnie zaczynał się nowy kawałek. Dziewczyna miała zarumienione policzki, wulgarny, trochę rozmazany makijaż, krzywo zapięte guziki sukienki. Julian czuł od niej kwaśny zapach potu. Nietrudno było się domyślić, co chwilę wcześniej robili z Mietkiem. Julian pomyślał, że może minął ich — zastygłych, na wpół rozebranych — w ciemnej bramie. Zerknął w stronę ściany. Blondynka stała na swoim miejscu i obserwowała ich. Mietek siedział na podłodze i walczył z pijacką sennością. Z dziewczyną tańczyło się ciężko. Próbowwała prowadzić i deptała mu po stopach, za każdym razem wybuchając przy tym śmiechem. Odczuł ulgę, gdy piosenka dobiegła końca.

Spojrzał w miejsce pod ścianą. Kobiety, która nigdy nie tańczy, nie było. Rozejrzał się po tłumie. Nie było jej. Ogarnęło go przerażenie. Irracjonalne, dzikie przerażenie, że już nigdy jej nie zobaczy. Ruszył do drzwi, mając nadzieję, że dogoni ją na ulicy. Gorączkowo zastanawiał się, ile mogła trwać ta piosenka. Może trzy minuty, może cztery. Nie zdążyła odejść daleko, szczególnie w za dużych butach na obcasie, po kocich łbach. Już złapał za klamkę, gdy ją zobaczył. Zajmowała jedno z krzeseł przy stoliku i grała z trzema mężczyznami

w karty. Oni polewali sobie co chwilę, a jej kieliszek stał pełny, nietknięty. Na twarzy kobiety Julian widział niezwykle skupienie i determinację. Mężczyźni podczas gry śmiali się, żartowali. Zdawało się, że ona nie potrafi się bawić — albo nie może. Miała minę, jakby grała o życie.

Julian zastanawiał się, co teraz zrobić. Czuł, że dalsze zaczepki nic nie dadzą. Ta kobieta nie da się odprowadzić do domu, nie umówi się na jutro do kina. Było w niej coś, czego nie potrafił określić, co sprawiało, że nie przystawało składać jej takich propozycji. Miała w sobie powagę. Godność. I jeszcze coś, czego nie potrafił nazwać. Nigdy wcześniej nie spotkał takiej kobiety. Nie chciał jej wystraszyć ani do siebie zniechęcić.

Wyciągnął z kieszeni marynarki paczkę papierosów i przełożył kilka, które mu zostały, z powrotem do kieszeni, opróżniając w ten sposób paczkę. Odruchowo sięgnął do kieszonki koszuli po ołówek, którym zapisywał w zeszytach nazwiska klientów i szczegóły zamówień, ale okazała się pusta — założył przecież po pracy świeżą. Rozejrzał się po roztańczonym towarzystwie. Nikt nie wyglądał na osobę, która zawsze ma przy sobie pióro. Jego wzrok padł na dziewczynę, z którą wcześniej tańczył, na jej mocno umalowane oczy. Wyciągnął ją z tańczącego tłumu.

— Ma pani kredkę? Taką do oczu?

Dziewczyna bez zdziwienia otworzyła torebkę i podała mu czarną kredkę.

— Pomadkę też dać? — zapytała.

— Kredka wystarczy. — Julian zaśmiał się, kucając pod ścianą.

Położył sobie na kolanie paczkę po papierosach i napisał: „Może jednak naprawię Pani buty? Piotrkowska 35 (w bramie)”. Oddał dziewczynie kredkę i ruszył w stronę stolika graczy. Pozostało mu jeszcze niepostrzeżenie dostarczyć liścik.

Stanął wśród przyglądających się grze gapiów i dłuższą chwilę udawał, że również obserwuje rozgrywkę. Oparł rękę z paczką po papierosach o jej krzesło, a potem ostrożnie rozchylił jej torebkę i wpuścił liścik do środka. Odwróciła się gwałtownie.

— Miło mi było poznać. — Julian uśmiechnął się i uklonił.

— Mnie również — odpowiedziała i choć już odwróciła się tyłem, był pewien, że odprowadziła go wzrokiem do drzwi.

## 2. UKŁAD

Nazajutrz, mimo nieprzespanej nocy, Julian był w swoim zakładzie szewskim godzinę przed otwarciem i pucował wodą z octem szybę wystawową. Choć na co dzień dbał, aby wewnątrz było czyste i podobało się klientkom, tego dnia wszystko zdawało mu się nie dość dobre, by zrobić wrażenie na kobiecie, która nigdy nie tańczy (tak zaczął nazywać ją w myślach).

Jego pomysł na wystawę był prosty — kilka pudełek różnej wysokości i zarzucony na nie kawałek aksamitu. Każda para wystawionych tam butów miała swój podest. Przez ostatnie miesiące, od zimy, był to biały aksamit, który miał przywozić na myśl śnieg. Julianowi aż wstyd się zrobiło, gdy sobie uświadomił, że ostatni raz przearanżował dekorację okna wystawowego pół roku temu, w grudniu. Teraz dostrzegł, że materiał poszarzał od kurzu jak śnieg od błota na wiosnę. Zmienił aksamit na czerwony. Głęboka czerwień wydawała mu się najbardziej wytworna z wszystkich kolorów tkanin, jakie miał. Wypastował buty i ustawił je na podestach. Pracował szybko, sprawnie. Bardzo zależało mu na tym, by zdążyć przed jej przyjściem. Otworzył szeroko drzwi, by wpuścić do środka świeże powietrze. Stanął za ladą i czekał.

— Mamy jakąś kontrolę? — W drzwiach stał Stasiek, jedyny pracownik Juliana.

— Trzeba się starać dla klientek — odpowiedział z uśmiechem Julian. — Nie uczyłem cię tego?

W kolejnych dniach wprowadził jeszcze kilka zmian. Co rano pastował któreś buty, by w zakładzie unosił się przyjemny zapach. Zabronił Staśkowi jeść śniadanie na froncie (najczęściej był to chleb z kiełbasą). Ubierał się lepiej i to samo zalecił pracownikowi. Kupił na rynku stare lustro w ozdobnej ramie i zawiesił je tuż nad podłogą — by klientki mogły podziwiać swoje nogi w nowych butach.

Minęło jednak dziesięć dni od przyjęcia, a ona nie pojawiała się w zakładzie. Klientki — bo choć zajmował

się również męskim obuwiem, to przewagę jego klienteli stanowiły kobiety — doceniły zmiany, lecz to nie na ich opinii mu zależało. Julian zastanawiał się, czy kobieta, która nigdy nie tańczy, przeczytała jego liścik. Pomyślał, że może tylko zdziwiła się, skąd w jej torebce wymięta paczka po papierosach, i wyrzuciła ją, w ogóle się jej nie przyglądając. A może nie należy do pedantek i do tej pory nie zauważyła tego „śmiecia” na dnie torby. Najgorszy scenariusz był jednak taki, że przeczytała wiadomość, ale nie ma zamiaru tu przyjść.

Gdy minęły dwa tygodnie, przestał już wystawać na froncie zakładu, gdzie od niedawna spędzał większość czasu, bezproduktywnie jej wypatrując. Wrócił do zajętych prac na zapleczu. Od przezornych klientek miał już kilka zamówień na jesienne kozaki. Wyciągnął twarzą, grubą skórę, z której robił podeszwy, i zaczął odrysowywać od szablonów zamówione rozmiary. Później przystąpił do wycinania.

Choć starał się wyrzucić kobietę z przyjęcia z pamięci, wciąż się zastanawiał, co zrobił nie tak. Może uznała za głupi pomysł z liścikiem na paczce papierosów? Może to wcale nie było romantyczne, tylko szczeniackie?

Ostrze omsknęło się z twardej skóry, tak że skaleczył się w kciuk.

— Kurwa mać!

W sklepowej części zakładu usłyszeli kroki. Spojrzeli na siebie ze Staśkiem.

— Wyjdź obsłużyć. — Julian poszedł do apteczki i zaczął przemywać skaleczenie.



— Chciałabym porozmawiać z właścicielem — usłyszał kobiecy głos. Jej głos.

— Szef teraz nie może... — zaczął Stasiak, ale Julian natychmiast wyszedł za ladę.

— Czyli to prawda, co mówią o szewcach. — Uśmiechnęła się.

— Mam jakieś dziury? — Julian udał, że przygląda się swoim butom.

— Miałam na myśli inne powiedzenie, ale widzę, że miał pan powód. — Popatrzyła na jego rozcięty palec, do którego mocno dociskał opatrunek.

Miała na sobie tę samą czarną sukienkę, tę samą torebkę w ręce, te same zniszczone buty. Julian spojrzał znacząco na Staśka. Chłopak wrócił na zaplecze.

— Nie zabrała pani żadnych na zmianę? — Julian zadał pytanie i natychmiast tego pożałował.

Kobieta spuściła wzrok, a na jej policzkach pojawiły się pąsowe rumieńce, jak u speszonej dziewczynki. Julian uświadomił sobie, że to pewnie jedyna para butów, jaką miała, a przynajmniej jedyna, jaka się nadawała na tę porę roku. Może myślała, że naprawi jej buty od ręki, a może w ogóle się nad tym nie zastanowiła.

— Przyjdę innego dnia, dobrze? — zaczęła mówić nerwowo. — Zupełnie nie pomyślałam. Głupia... — Skierowała się do wyjścia, a Julian przestraszył się, że jeśli pozwoli jej wyjść, już nigdy jej nie zobaczy.

— Bez sensu! — Wyszedł zza kontuaru i podszedł do wystawy. — Nie będzie pani chodziła tam i nazad... —

Spojrzał na jej stopy. — Jaki ma pani rozmiar? Trzydzieści siedem?

— Trzydzieści osiem.

Julian sięgnął po eleganckie czółenka z odkrytym palcem z delikatnej beżowej skóry.

— Pożyczę pani te na czas naprawy. — Wyciągnął w jej stronę ręce, w których trzymał buty.

— Nikt ich potem panu nie kupi.

— Proszę przymierzyć.

Po chwili wahania przytrzymała się kontuaru i zdjęła stare. Przez ułamek sekundy Julian miał ochotę uklęknąć przy niej i założyć czółenka na jej stopy, znaleźć się blisko jej łydek, blisko jej ud. Pohamował się w ostatniej chwili. Nie chciał, by pomyślała, że spoufala się z wszystkimi klientkami. Schyliła się i założyła nowe buty. Leżały idealnie.

— Pójdźmy na taki układ: będzie pani dla mnie żywą reklamą. Jak ktoś zapyta, gdzie je pani kupiła, wyśle go pani do mnie.

— Ją. — Uśmiechnęła się.

— Ją. Fakt. Chyba że jego, jak będzie chciał takie kupić żonie.

Podniósł w podłogi jej sfatygowane czółenka.

— Zobaczą, co da się z nimi zrobić.

Stali naprzeciw siebie w niezręcznej ciszy. Wszystko zostało już powiedziane. Julian wiedział, że kobieta nie potrafi wyjść w nowych butach bez płacenia i rozumie, że nie będzie musiała ich oddawać. Czuł, że ona cierpi katusze, że mimo dobrych chęci uraził jej dumę. Wrócił

szybko za kontuar i otworzył swój zeszyt. Wyciągnął ołówek z kieszonki koszuli.

— Poproszę pani nazwisko.

— Kwiatkowska. Maria Kwiatkowska.

Zapisał. Obok wpisał zamasyście: „naprawa”.

— Proszę zajrzeć za tydzień. Powinny być gotowe.

— Dziękuję. Do widzenia. — I wyszła z zakładu.

Julian podszedł do wystawy i patrzył za nią, jak odchodzi. Pomyślał, że „Maria Kwiatkowska” kompletnie nie pasuje do tej intrygującej kobiety. Zastanawiał się też, czym się kierowała, przychodząc tutaj. Czy chodziło o niego, czy może tylko o naprawę butów?

### 3. KINO, KAWIARNIA I SPACER

Wizyta u szewca wiele Marię kosztowała. Sama była zaskoczona tym, jak wiele.

Po powrocie do domu — właściwie dwunastometrowego wynajmowanego pokoju z siennikiem, stołem, taboretą, miską, wiadrem i walizką zamiast szafy — zwymiotowała. Klęczała nad wiadrem, a torsje wciąż nią rzucały, choć niewiele dziś zjadła i właściwie nie miała czym wymiotować.

Długo jeszcze trwała pochylona nad wiadrem, bojąc się, że to nie koniec. Spojrzała na dno. Więcej tam było żółci niż niestrawionych resztek jedzenia. Jej oczy wezbrały łzami. Od wielu dni jadła tylko suchy chleb

i jabłka, które kupiła za drobne wygrane na prywatce w karty. Odkąd miesiąc temu straciła pracę na przędzalni w Wi-Mie\*, nie mogła znaleźć nowej. Przy tak dużym napływie wysiedleńców ze wschodu trudno było w Łodzi o jakiegokolwiek zatrudnienie. Nie miała żalu do kierownika zmiany. Sama by siebie zwolniła. Oszalał ją huk maszyn, robiło jej się słabo od gorącego, wilgotnego powietrza. Wiele razy, zamyślona, traciła kontrolę nad przędzarką. Była powolniejsza, mniej sprawna od pozostałych kobiet. Aż się dziwiła, że udało jej się tam utrzymać przez trzy miesiące. Pewnie na jej miejsce wybrali silną, szybką dziewczynę, która radzi sobie sto razy lepiej. Dziewczynę, która ma teraz na czynsz i na chleb.

Maria wybuchnęła płaczem. Głośnym, niepohamowanym płaczem. Położyła się na brzegu siennika i starała się stłumić szloch. Nie chciała, by sąsiedzi słyszeli, by byli świadkami jej upadku. To właśnie spotkanie z szewcem — mężczyzną, który chciał ją poznać, mężczyzną, który zarabiał, miał ubranie na zmianę i co jeść, a nawet zatrudniał pracownika — uświadomiło jej, że jest na dnie. Że to jej dno. Przez ostatnich kilkanaście miesięcy, które minęły od ucieczki ze Lwowa, Maria weszła w tryb, którego wcześniej nie znała. W tryb przetrwania. Tryb, w którym nie istnieją pojęcia godności czy wstydu. Jest jeden cel — przetrwać kolejny dzień. Trzeba oddać rubinową broszkę za bilet na pociąg do Wrocławia? Dobrze. Ślubną

---

\* Wi-Ma (Widzewska Manufaktura) – znana tódzka fabryka, powstała w latach 70. XIX w.; od 1949 r. – Widzewskie Zakłady Przemysłu Bawełnianego „1 Maja”.

obrączkę za bochenek chleba? Już zdejmuję. Pracować miesiąc u krawcowej w Legionowie za marne jedzenie i pieniądze na bilet do Łodzi? Żaden problem. Oddać płaszcz z kołnierzem z lisa za jeden nocleg na kuchennej podłodze? Wiosna idzie, płaszcz już niepotrzebny. Byle przyjęli w którymś z miast. Byle znaleźć sobie kąt. Pracę. Żyć jak człowiek. Zaciskała zęby. Mówiła sobie, że i tak ma szczęście. Po utracie pracy w fabryce co rano ubierała się w tę samą, jedyną sukienkę, którą prała w sobotę wieczór, by wyszła na niedzielę, czesała się w kok i wychodziła z domu. Godzinami krążyła po ulicach. Pytała o pracę. Może w jakiejś witrynie będzie ogłoszenie? Może potrzebują kelnerki? Może sprzątaczkę? Może na Rynku Bałuckim, gdy już zwiną się stragany, znajdzie obitą gruszkę, nadgniłą marchewkę albo cebulę, która potoczyła się po ziemi i teraz leży sobie przy krawężniku. Tak też trafiła na tamtą prywatkę. Usłyszała muzykę. Weszła do mieszkania i wmieszała się w tłum. Nie było tam nic do jedzenia, na co bardzo liczyła, ale grali w karty. Zaryzykowała ostatnie grosze, opłaciło się. Mogłaby jeszcze żyć w trybie przetrwania wiele miesięcy, gdyby nie ten mężczyzna, który nieświadomie na nowo obudził w niej poczucie wstydu i godności. Przypomniał, że przed wojną wiodła inne życie. Nie dała się pochłonąć wspomnieniom, lecz w pełni poczuła swoją obecną nędzę.

Uspokoiała się późno w nocy. Weszła na taboret i otworzyła małe okienko pod sufitem, by wywietrzyć kwaśny zapach wymiocin. Wyszła na podwórko, skorzystała z wygodki i wylała do niej zawartość wiadra. Jedyным

plusem, jaki Maria widziała w mieszkaniu tutaj, był dostęp do wody. Nie trzeba było chodzić daleko do hydrantu, bo na podwórku stała studnia. Wypłukała kilkukrotnie wiadro i nalała do niego wody. Ruszyła z powrotem do mieszkania. Było za późno, by prosić sąsiadkę, która miała piec, o podgrzanie wody. Zresztą nie miała już przecież z czego zapłacić. Umyła się w zimnej.

Nie mogła zasnąć. Usiadła przy stole. Zastanawiała się, co szewc by powiedział, widząc ją teraz w tej celi z siennikiem i okienkiem pod sufitem. Jedyna ładna, nowa rzecz w tym mieszkaniu to czółenka, które od niego dostała. Zdjęła je i zaczęła się im przyglądać z bliska. Miały piękny, zgrabny kształt. Były z miękkiej skóry. Pomyślała, że pomogą jej w dalszym zachowywaniu pozorów. Może dzięki nim dostanie pracę w kawiarni albo sklepie odzieżowym. Zachowywanie pozorów pomagało przetrwać. Czarna sukienka była zniszczona, ale czysta i elegancka. Torba poprzecierana, ale gdy była nowa, niewiele kobiet byłoby na nią stać. Odrosty, obsesyjnie często rozjaśniane wodą utlenioną, kupowaną zamiast jedzenia, miały ją odciąć od dawnej tożsamości, by już nikt jej nie nazwał „parszywą Żydówką”, nikt jej nie zagroził. Czesła włosy w wytworny kok, jakiego byle robotnica czy baba z rynku nie umiałyby zrobić. To dzięki wyglądowi kierownik przedzalni tak długo nie śmiał jej zwolnić. Bo jak tu zwolnić taką damę? Dzięki wyglądowi nie wyrzucano jej za próg, tylko mówiono, żeby przyszła za miesiąc, to może będzie praca. Dzięki wyglądowi wmieszała się w tłum na prywatce i poznała szewca.